

## Sierpniowa noc

Wszyscy śpią.

Taka ciemność - w obrazie, dźwięku, ruchu, myśli - że trudno mi uwierzyć w dzień. Jakże to? - światło? hałas? śmiech? krzątania domowa? Fantazje niemożliwe! To jest stan jedynie prawdopodobny: wszyscy śpią. Chodzę w ciszy po domu.

Kuchnia. Korytarz. Ganek; bo drzwi otwarte (lekki wiatr w trawie - nie słuchać wiatru!). Korytarz. Pokój dziecienny. Korytarz. Sypialnia. Korytarz. Kuchnia. Zagryzam dłoń.

Siadam i to już jest jakaś ulga, bo żeby teraz zrobić cokolwiek więcej, muszę wpierw wstać, co wymaga pewnego dodatkowego, świadomego wysiłku - mały bufor bezpieczeństwa.

Nie zapaliłem oczywiście światła, ale Księżyc zagląda przez okna i wszystko tonie w letnim półmroku. Duszno. Mógłbym sięgnąć do lodówki, nalać sobie zimnego soku, wypić. Wystarczy ruch ręką, nie trzeba wstawać. Mógłbym. Ale mógłbym także sięgnąć gdzie indziej. Nawet nie muszę patrzeć, tysiącrotne wyobrażenie wytrenowało odruchy.

Nie sięgam. (Na razie). Siedzę. Wszyscy śpią. Pocę się ze strachu.

•

To nie jest bezsenność; a w każdym razie nie jest ona przyczyną, prędzej skutkiem. I przecież nie każda noc taka. Jedna na trzy, cztery. Częściej w weekendy, święta. Dziesięć razy na miesiąc? Ale nie liczę, to tylko takie wrażenie - że przyspiesza, że już więcej niż raz w tygodniu, że zdarza się również taka noc po nocy; podczas gdy w zeszłym roku - prawie w ogóle.

Więc narasta.

Czy potrafię cofnąć się pamięcią aż do samego początku? Czy w ogóle istnieje początek w postaci konkretnego punktu w czasie, pojedynczego zdarzenia - czy też raczej szukać trzeba miliona drobnych znaków, tak drobnych, że niedostrzegalnych, które powoli kumulują się w niepowstrzymywalną lawinę? Teraz, w przerażeniu, pamięć przyobleka wszystko w czarne skojarzenia.

No bo chyba nie jestem wyjątkiem, chyba każdy zna to uczucie. Ale pewnie słabe, przelotne, zaraz zapomina. Dlaczego ja nie jestem w stanie?

Miałem trzynaście lub czternaście lat, ciotka przyjechała z wizytą zza morza, widziałem ją po raz pierwszy, podstarzała brunetka przy kości, mówiła ze śmiesznym akcentem. Cała rodzina usadziła się przy stole, na którym ona rozkładała setki zdjęć, nieprzerwanie je komentując i popadając przy tym w liczne dygresje, podnosiła wówczas wzrok i perorowała z filiżanką w dłoni, co i raz zbliżając ją do warg, ale bodaj nigdy z niej nie upijając, bo zawsze w ostatniej chwili rozpoczynała nową opowieść i filiżanka oddalała się. Siedziałem na ukos, przez róg stołu od ciotki, między nami był jedynie mój młodszy brat, który bawił się podebranymi ze sterty fotografiami. Patrzyłem, jak ona mówi i mówi, filiżanka w górę i w dół, kawa już na pewno zimna, nie mogłem oderwać wzroku, zdrętwiały mi ramiona, pot zaczął spływać po plecach; wreszcie poderwałem się, uciekłem.

Matka mnie wypytywała, co miało znaczyć tak niegrzeczne zachowanie. Ojciec też zrugął. Nic nie odpowiadałem. Co miałem rzec? Takich rzeczy nie da się wytłumaczyć drugiej osobie. Sobie samemu zresztą także.

Przed czym uciekłem? Siedziałem tam i obserwowałem ciotkę. Za entym uniesieniem przez nią filiżanki ogarnęła mnie w końcu na dobre irytacja, prawie złość, zgrzytałem w duchu zębami: „No wypijże tę kawę!”. Ale ona znowu zaczynała mówić i szlag mnie tam trafiał. „No wypijesz, czy nie?”. Po

raz kolejny unosiła ją do warg. Wyobraziłem sobie, jak pochylam się nad stołem i przyciskam naczynie do jej ust, w ostatniej chwili zapobiegając wybuchowi następnego słowotoku. Oczywiście nie zrobiłem tego, ale wyobrażenie się zapisało i za każdym razem wracało coraz silniejsze, projektowałem sobie ruchy ciała, tak przesunę stopy, tak oprę się lewą ręką o stół, tak sięgnę prawą; i jak uchwycę filiżankę. Wystarczyło wykonać. Nikt i nic nie było w stanie mi przeszkodzić. MOGŁEM to zrobić. I ta możliwość zaczęła mnie zasysać, wciągać, wpadałem niczym w studnię - stopa, ręka, ręka, filiżanka - przecież to ułamek sekundy, tak niewiele trzeba, MOGĘ to zrobić, MOGĘ, co powstrzyma moje ciało, kiedy już się poderwie, kto zahamuje ruch? Spadałem. Zimny pot ciekł wzdłuż kręgosłupa. Na litość boską, przecież nie napadnę na oczach całej rodziny na ciotkę! Ale ręce już wiedziały, jak mało trzeba; ale nogi już szykowały optymalne ustawienie; ale tułów już się pochylał. Udało mi się jakoś wcisnąć dłonie pod uda, tak że teraz siedziałem na wyprostowanych palcach, lecz to w niczym nie pomagało, ramiona mi cierpły, rosło przerażenie, nie odrywałem wzroku od filiżanki. Kto, co powstrzyma...? Nie istniała taka siła. MOGŁEM.

Uciekłem.

Taki początek pamiętam.

•

Ponieważ nie potrafię ocenić, która myśl i kiedy uruchomi wyobrażenie, jestem bezbronny. Pozostaje mi uciekać, o ile znajdę siłę. Ale nie zawsze można uciec.

Idę pokrytym lodem chodnikiem, przede mną ostrożnie, krocze za kroczkiem, posuwa się zakutany w płaszcz starzec. Wyciągnę rękę, popchnę, przewróci się. MOGĘ.

Uciekam czym prędzej.

Na peronie dworca kolejowego, na chwilę przed zajechaniem pociągu, który już zbliża się, rozpędzony. Dwa kroki od krawędzi; co mnie powstrzyma przed skokiem na tory? Nie ma barier, strażników, nikt nie zdąży zareagować, nogi już znają scenariusz, wyobrażenie jest tak silne, tak silne! MOGĘ.

Cofam się głębiej w tłum podróżnych, serce bije głośno w szoku adrenalinowym.

Piękna kobieta w autobusie obok mnie. Obróć się, obejmę, pocałuję. MOGĘ.

Wsiadam.

Jadę autostradą, setka na liczniku, i nagle wyobrażenie o najwyższej rozdzielczości: drobny ruch dłoni, skręt kierownicy, tak to będzie wyglądać, tak właśnie. Co, kto powstrzyma? - nikt, nikt, MOŻESZ, MOŻESZ, MOŻESZ!

Żona się dziwi, czemu wracam do domu taksówką, gdzie wóz. I co jej powiem? Takich rzeczy nie da się wytłumaczyć. Nie mówię nic.

Najgorsze jest to, że te wyobrażenia się są przecież wyobrażeniami realizacji mych marzeń, w każdym razie większość z nich nie jest. Na miły Bóg, ja wcale nie chcę się zabić! Tylko że kryterium nie stanowi tu, czego CHCĘ, lecz co MOGĘ. Zbieżności między nimi są przypadkowe, a wyobrażenia tym silniejsze, im czyny w nich straszliwsze. Czysta MOŻLIWOŚĆ odbiera mi władzę nad ciałem i duszą.

•

Tak jak teraz - bliskość szuflady przymusza mnie do ruchu. Tak bardzo MOŻNA, że już prawie TRZEBA. W świetle Księżycy uchwyt lśni niczym klamka bajkowego skarbcza.

Gryzę wargi. Smak krwi pozwala mi się na moment wyzwolić i kiedy wstaję z krzesła, skręcam w przeciwną stronę. Korytarz.

Korytarz, pokój dziecinny. Oddycham głośno, mokry od potu. Córeczki śpią, znowu skłębily się na

jednym łóżeczku, piżamki pozwijają się ciasno, koc zjechał za podłogę. Chcę podejść, poprawić, przykryć, ucałować, jasne włosy przesłaniają ich twarze, które znam tak dobrze, w płaczu, w śmiechu, znam na pamięć. Omal krztuszę się z rozpaczy, trzęsąc się w progu.

Korytarz, bo zdobyłem się na krok wstecz. Przez minutę tylko stoję i kiwam się na piętach, tępo wpatrzony w przestrzeń, podpierając się o ściany obiema rękami. Weź się w garść! Uciekniesz! Jakoś.

Wpadam do łazienki. Zimny prysznic, tak. Wraz z wodą spływa powoli przerażenie. Wyrównuje się oddech, wyrównują szale. Wycieram się z nową energią. Słyszę jak w salonie zegar wybija trzecią. Taaak.

Wychodzę na ganek, zapalam papierosa. Ukojenie. Ta noc już chyba za mną. Zaparkowany na podjeździe samochód przyciąga wzrok. Może będę musiał, może to jest jedyne wyjście: nie mówiąc słowa, nie pisząc listu, nie zostawiając żadnych śladów, wsiąść którejś nocy i odjechać w nieskończoność. To jest sposób, to jest ucieczka. Wtedy już nie będę MÓGŁ.

Wyrzucam peta, wracam (korytarz, sypialnia). Ona śpi na lewym boku, jak zwykle. Wsuwam się za nią, obejmuję, przyciskam. Wtula się odruchowo, coś mruczy. Wtedy lancet straszliwej pewności tnie mnie przez klatkę piersiową, ciekły azot spływa krtanią, staje serce. Będą przecież kolejne noce ciemności.

- Kocham cię - szepczę jej chrapliwie.

Lecz - MOGĘ. MOGĘ.

Nikt nie powstrzyma, wszyscy śpią.

*Jacek Dukaj  
styczeń 2001*

Opublikowano na Stronicach Dukaja (<http://dukaj.pl>)